

KOMAROWY DOŁEK

Tak jak w każdej dziedzinie życia, w każdym zawodzie tak i w myślistwie jest grupa osób, do której środowisko nie bardzo chce się przyznawać. Tych ludzi do zawodu, stowarzyszeń czy klubów hobbistycznych nie pcha pasja, autentyczne zainteresowanie czy tradycje rodzinne, ale coś innego – chęć bycia kimś i wyróżniania się w środowisku. Tak jest często wśród prawników, lekarzy czy architektów, ale także wśród członków klubów golfowych, klubów biznesowych czy też różnego rodzaju fundacji.

Niestety, w rzeszy myśliwych, którzy w większości łowiectwo uprawiają z autentycznego zainteresowania, chęci obcowania z przyrodą i umiłowania środowiska naturalnego, są też niechlubne wyjątki. W sposób naturalny przebiega w środowisku myśliwych permanentny proces samooczyszczania szeregów, jednak napływ tych nieporządných osobników także trwa. Proces wstępowania w szeregi członków Polskiego Związku Łowieckiego prominentnych działaczy administracji rządowej i wojewódzkiej, partyjnych wyższego i niższego szczebla czy w końcu wyższych oficerów wojska i milicji miał swoją kulminację w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

Bycie myśliwym stało się modne, było formą osobistego dowartościowania się, a przy okazji stwarzało możliwość nieformalnych i bezpośrednich kontaktów z władzą.

Nie można jednak być bezkrytycznym i twierdzić, że wszyscy bez wyjątku zajęli się myślistwem z czystego wyrachowania, bo dla wielu byłoby to niesprawiedliwe. Część z tych osób podchodziła do łowiectwa i myślistwa z należnym szacunkiem i z czasem stali się oni pełnowartościowymi członkami naszego Zrzeszenia.

Ale wyjątki te potwierdzały tylko ogólną regułę.

Napływ do myślistwa rządowych, partyjnych i wojskowych elit spowodował, że przed nadleśniczymi, dyrektorami PGR-ów i OHZ-ów stanęły nowe wyzwania organizacyjne. Nie wystarczyło już mieć w łowisku zwierzynę. Musiała to być zwierzyna trofeowa, a najlepiej medalowa. Mało tego. Musiała zajmować bardzo określony rewir i wychodzić z dokładnością do pół godziny. Powód był banalny. Nasi myśliwi dygnitarze, czas na polowanie mieli najczęściej zarezerwowany po odbyciu jednej z wielu „wizyt gospodarskich” w terenie i często było to nie więcej niż dwie, trzy godziny.

Trzeba było przecież zarezerwować jeszcze z godzinę na uroczystą kolację połączoną z toastem wzniesionym na cześć króla polowania.

Wydawać by się mogło to niemożliwe do zrealizowania, ale gdzież polska pomysłowość.

Na listach medalowych trofeów jest wiele takich, które zdobyte zostały w specyficzny sposób w wydzielonych obwodach łowieckich ALP, PGR i PZŁ, bo tylko w takich obwodach polowali nasi szczególnie koledzy.

Należy podkreślić, że sukces łowiecki gościa bardzo często był w jakiś tam drobny sposób wynagradzany dzierżawcy obwodu. Czasem był to talon na deficytowy towar, czasem asygnata na „malucha”, niekiedy obietnica wpisania na odpowiednią listę wyborczą a jeszcze innym razem zwolnienie syna z odbycia zasadniczej służby wojskowej.

Wszyscy odnosili większe lub mniejsze korzyści jednakże pod jednym warunkiem – polowanie musiało być udane. Dlatego też organizacja musiała być perfekcyjna, a zwierz pewny.

W latach siedemdziesiątych Wielkopolska słynęła między innymi z kilku PGR-ów, które swoimi wynikami w produkcji rolnej i zwierzęcej przyćmiewały inne tego rodzaju przedsiębiorstwa w naszym kraju. Aby osiągnąć tak dobre wyniki niezbędne były w odpowiedniej ilości dobre nawozy sztuczne, środki ochrony roślin, materiał siewny ale także nowoczesny sprzęt - ciągniki i kombajny. Na większość tych środków produkcji i maszyn trzeba było mieć przydziały lub asygnaty, które przydzielane były albo na szczeblu wojewódzkim albo ministerialnym. Kto chciał mieć dobre wyniki, a zatem i notowania u władzy musiał te produkty zdobyć. Aby je zdobyć trzeba było znaleźć prominentnego

działacza myśliwego i zaprosić go do odbycia „gospodarskiej wizyty” połączonej z krótkim pobytem w łowisku.

Wspomniany PGR posiadał własny wydzielony obwód łowiecki i przygotowanie pewnego rejonu do polowania stało się potrzebą chwili.

Do realizacji projektu dyrektor powołał zespół najlepszych swoich praktykantów z zakresu łowiectwa i po kilku miesiącach mógł już podziwiać zrealizowany projekt. Powstał „komarowy dołek”.

Tak naprawdę to projekt składał się z dwóch części. Pierwszą łatwiejszą część zrealizowano szybko.

Po prostu w wybranej części lasu wydzielono i ogrodzono 80 ha i do tak utworzonej zagrody wpuszczone zostały dziki, w tym porządnie już wyrosnięte wycinki. Zagrodę wyposażono w dwie odłownie. Dziki były tu intensywnie karmione a stado stale powiększane o osobniki męskie złowione w innych częściach łowiska. W zagrodzie tej dochowano się w ciągu kilku lat wielu odyńców o masie ponad 150 kg i medalowych orężach.

Druga część projektu była znacznie trudniejsza, ale dzięki pomysłowości twórców powstało najlepsze w Polsce stanowisko do polowań na rekordowe odyńce. Stanowisko to powstało w starodrzewiu sosnowo – dębowym, z gęstym podszytem świerkowym, w którym znajdowała się halizna. Przy tej haliźnie ustawiona została solidna i bardzo wygodna ambona, a przed nią przygotowano buchtowisko. Po prawej stronie ambony ciągnął się kilkunastometrowy pas świerkowej gęstwiny i to był najistotniejszy element kamuflażu, gdyż za tym pasem w miejscu niewidocznym z ambony wykopana została głęboka ziemianka, pieczołowicie zamaskowana, z dwoma wejściami. Ziemianka była tak duża, że spokojnie wchodziła do niej skrzynia z odyńcem oraz dwóch ludzi. Za świerkami był oczywiście niewidoczny dojazd dla ciągnika, a do ambony przygotowana została stumetrowa ścieżka do podejścia.

Przed uruchomieniem stanowiska przeprowadzonych zostało kilka prób, które potwierdziły przyjęte założenia.

Scenariusz łowów wyglądał następująco.

Na dwa, trzy dni przed „polowaniem” w zagrodzie odławiany był odpowiedni odyniec i w zamknięciu „o głodzie” przetrzymywany był aż do dnia planowanego przyjazdu gościa. Gdy gość potwierdził swój przyjazd odyniec po południu był przewożony w odpowiedniej klatce do ziemianki, a na półgodziny przed rozpoczęciem „polowania” w ziemiance zamykali się też dwaj pracownicy, których zadaniem było wypuszczenie dzika o odpowiedniej godzinie. Przed amboną wysypana była kukurydza z kiszonką i oczywiście wygłodzony po kilku dniach postu odyniec wychodził prosto na buchtowisko.

Przez kilka lat funkcjonowania „komarowego dołka” tylko dwa razy odynce nie weszły na buchtowisko, a oddaliły się za świerkami od miejsca swej niechybnej śmierci. W polowaniach tych niezwykle istotną rolę odgrywał podprowadzający, który swoim zachowaniem i przekazywanymi informacjami podnosił poziom emocji gościa, słysząc tuż przed wypuszczeniem dzika wyraźne pęknięcia nadepniętych przez zbliżającego się zwierza gałązek.

Raz tylko sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy znużeni i zziębnięci pracownicy znajdujący się w ziemiance zaczęli palić papierosy, a wydobywający się dym zaczął unosić się nad kępą świerków. Dym ten zauważył gość i sądząc, że to początek pożaru koniecznie chciał go ugasić. Dopiero przekonująca perswazja podprowadzającego, że to jest teren podmokły i czasami unoszą się takie opary, nieco uspokoiła myśliwego i dopiero dzik na buchtowisku rozwiązał wątpliwości.

Obsługa ziemianki została jednak wymieniona na niepalących.

„Komarowy dołek” istnieje do dziś, ale ziemianka zapadła się i przypomina magazyn sadzonek, buchtowisko porośło chwastami i samosiewami, a ambona zawaliła się.

Życie idzie naprzód.

Bogusław Buźński

□□